

Arkadiusz Kalin

Odpowiedź na polemikę kuratorek festiwalu „Bliscy Nieznajomi”

Postaram się napisać możliwie krótko, bo tego typu repliki na polemiczny elaborat do obszernej recenzji rzadko kto czyta poza ich autorami. Będę odnosił się do czasem bardzo drobiazgowych uwag zwięźle, odwołując się do poszczególnych punktów. Zarzuty Auterek są poważne – otóż okazuje się, że reprezentuję postawę kolonialną wobec Ukrainy, strategię wymazywania ukraińskich artystów i ogólnie elitaryzm, belferstwo, a zarazem ignorancję. Mam wrażenie, że tylko reguły kulturalnej jednak polemiki nie pozwoliły Kuratorce wprost wyartykułować syntetyzującego zarzutu „dziaderstwa”. Mimo wszystko dziękuję Autorkom za sformułowanie krytycznych uwag, które dały mi materiał do refleksji, choć generalnie pozostaję przy swoim punkcie widzenia.

Ad 1. Rzeczywiście użyte przeze mnie stwierdzenie o większej dyskryminacji środowisk LGBT+ na Ukrainie niż w Polsce mogło nie być właściwe. W końcu w ostatnich latach niewątpliwie doszlusowaliśmy do niechlubnej homofobicznej awangardy europejskiej. Na [mapie Europy](#) raportującej te zjawiska Polska wypada nieco gorzej niż Ukraina: miejsce 43. vs 39., podobnie w [raporcie OBWE](#) dotyczącym przestępstw nienawiści, w dziale „anti-LGBT [hate crime](#)” takich zdarzeń w przypadku Polski zaraportowano 16, na Ukrainie – 14. Jednocześnie ukraińska organizacja LGBT Human Rights Center „Nash Mir” [dokumentuje](#) w 2019 r. 369 przypadków przemocy i dyskryminacji środowisk LGBT+¹. To pokazuje, że te sprawozdania w znacznym stopniu uzależnione są od prawnych możliwości zgłaszania tego typu zdarzeń i od podejmowania odpowiednich działań przez prokuraturę i policję oraz od chęci raportowania przekazywanych danych przez odpowiednie agendy rządowe – stąd tak duże rozbieżności danych w różnych źródłach (np. w raporcie OBWE niezwykle wysoka liczba tego typu przypadków w Holandii w porównaniu do kilkunastu w Polsce i na Ukrainie: 574), na co zresztą [zwracano uwagę](#). Niestety nie ma wspólnej, ogólnoeuropejskiej metodologii rzetelnego zbierania i raportowania tego typu przypadków dyskryminacji, więc w rzeczywistości wyłaniają się obrazy sytuacji środowisk LGBT+ trudno porównywalne, uzależnione też od subiektywnych i anegdotycznych relacji. Autorki np. powołują się na udaną kijowską Paradę Równości, ale nie wspominają, że z kolei ta odeska została zaatakowana przez neonazistów, a policja reagowała niechętnie. Trudno zatem jednoznacznie

¹ Dodam, że w przytaczanych publikacjach oparto się głównie na danych z ostatniego przedpandemicznego roku – 2019, bowiem późniejsze w związku z różnego rodzaju obostrzeniami sanitarnymi ograniczającymi życie publiczne i sprowadzające je do „podziemia” internetowego są trudno porównywalne.

ocenić sytuację środowisk LGBT+ w obu tak dużych krajach – na Ukrainie i w Polsce, zapewne w Kijowie wygląda to lepiej niż w Odessie, podobnie jak w Poznaniu – lepiej niż w Białymstoku. Tak czy owak oba kraje są w ogonie europejskim pod tym względem, nie mówiąc o Białorusi.

Nie jest natomiast prawdą, że zwierzchnicy kościelni i religijni fundamentaliści na Ukrainie nie angażują się w kampanie anty-LGBT. Otóż szczują nie mniej niż nasi rodzimi. Tyle że z powodu wielości obrządków i kościołów jest to słabiej widoczne, choć lokalnie zapewne równie dotkliwie. Z raportów przywołanej już ukraińskiej organizacji „Nash Mir” można wyczytać wiele takich przypadków, ot, choćby oskarżenie przez patriarchę Filareta związków homoseksualnych o rozprzestrzenianie zarazy COVID-19. Jak na ironię, kilka miesięcy później koronawirus został wykryty również u tegoż Filareta...

Ad 2. Pierwszego zarzutu nie rozumiem, ton spektaklowi „H-effect” nadawali właśnie aktorzy-amatorzy i do tego się odnosiłem. Podkreślanie różnicy pomiędzy określeniem „fachowcy” a „eksperci” to jest jakiś wsobny terminologiczny puryzm teatrologiczny. Z kolei słowo „natuszczyk” nie jest „dyskredytującym terminem”, odsyłam w tej sprawie do słowników języka polskiego.

Ad 3. Znowu Autorki polemiki podnoszą kwestie lingwistyczne. Zarzucają mi, że ekipa teatralna jednak nie znała języka polskiego. Ja widziałem na spotkaniu widzów z aktorami co innego, cóż – słowo (powidok recenzencki) przeciwko słowu. Nie będę przepytawał aktorów ze znajomości polszczyzny, bo po co i jak? Dalsza, obszerna część polemiki dotyczy szczegółowych kwestii językowych – odniosę się do nich osobno.

Ad 4., 5. i 6. Do zarzutów, typu: „Manifest nie został przedstawiony, jak błędnie pisze Autor, przez Kiju Szałankiewicz, lecz przez Przemysława Madeja – aktywistę i założyciela portalu Pozqueer” trudno odnieść mi się merytorycznie. W programie i materiałach festiwalowych było Kiju, zapowiedziane przed występem było Kiju, więc według mnie to było Kiju. Trudno było zorientować mi się w zamianie – cóż, nie są to artyści/aktywiści na tyle rozpoznawalni, abym mógł ich rozróżnić. Kuratorki zarzucają też, że recenzent „unieważnia/wymazuje artystów z Ukrainy”, powołując się przy tym na raport Związku Ukraińców w Polsce, ponieważ nie wszyscy uczestnicy organizatorskiego kolektywu zostali wymienieni w recenzenckim opisie wydarzenia „Ten spacer” (podobnie w pkt. 5). Jednakże po to jest program i materiały towarzyszące, żeby w mocno skrótowym opisie wielu wydarzeń festiwalowych nie trzeba było wyliczać w recenzji wszystkich osób odpowiedzialnych za ich ostateczny kształt. Co to ma wspólnego z rzekomym „unieważnianiem/wymazywaniem artystów z Ukrainy” przeze mnie?!

Kwestie językowe – odnoszę się do nich zbiorczo, ponieważ rozsiane są w różnych miejscach polemiki. Autorki zarzucają mi bezrefleksyjne stosowanie zdyskredytowanych w naukach humanistycznych pojęć „politycznej poprawności” i „rasy”. Oczywiście w dyskursie naukowym antropologii fizycznej i kulturowej zasadnie odchodzi się od pojęcia „rasy”, natomiast nie rozumiem, na czym miałyby polegać zdyskredytowanie „politycznej poprawności” (ang. *political correctness*) w naukach humanistycznych, które to określenie ponoć dziś jest „wstydlive dla demokratycznego dyskursu” – nie świadczą o tym setki publikacji naukowych związanych z tym pojęciem i sygnowaną przez nie problematyką, publikowanych też w ostatnich latach. To, że oba te pojęcia są semantycznie nadużywane w języku potocznym, w publicystyce czy w zideologizowanych przekazach, nie oznacza, że należy je wygumkować z języka. Określenie „rasa” i jego derywaty nadal są używane w języku ogólnym, również w wypowiedziach, które można by określić jako progresywne (postępowe, emancypacyjne, modernizacyjne itp.), także w języku angielskim – np. w kontekście ruchu [Black Lives Matter](#). Czy organizacje typu [Race Forward](#), walczące o równość rasową, również bezrefleksyjnie posługują się „zdyskredytowanym pojęciem”? Polski rzecznik praw obywatelskich w trakcie wizyty w Michałowie 5 listopada tego roku, odnosząc się do kryzysu migracyjnego na wschodniej granicy, podkreślał obowiązek pomocy przekraczającym kordon migrantom „niezależnie od tego, jakiej są narodowości, jakiej są rasy” (cytat za: „Fakty” TVN z 5.11.2021). Czy autorki polemiki uznają te słowa za niestosowne?!

Odnosnie pisowni (transkrypcji) ukraińskich nazwisk: tak – podstawową formą w polskojęzycznych materiałach Teatru Polskiego powinna być „Oksana Czerkaszyna”, tzw. googlowanie nie ma nic do rzeczy (pkt. 2). A uzasadnienie transkrypcji angielskiej „międzynarodowym obiegiem festiwalowym” nie przekonuje mnie, można w ostateczności użyć obu form. W końcu odbiorcami byli przede wszystkim polskojęzyczni widzowie. Kuratorki uzasadniają tę anglicyzującą modę jeszcze w inny sposób – zapisywanie wschodnich nazwisk w transliteracji polskiej „przypomina lingwistyczną kolonizację”. To ciekawe, że anglojęzyczna transliteracja w języku polskim i zjawisko młodzieżowego „polingliszu”, zdaniem Kuratorek, już taką kolonizacją nie jest – wręcz przeciwnie, to oznaka światowości i świadomej emancypacji środowiska...

Oczywiście oberwało mi się również za formę „na Ukrainie” jako pozostałość kolonialnego myślenia, która ponoć razi i rani Ukraińców – zamiast jedynie właściwej „w Ukrainie”. Wiązanie konstrukcji „na + nazwa państwa, regionu” z kolonializmem jest wysoce ryzykowne. Bo o ile pamiętam z historii, to np. Węgry raczej nas – jeśli już – kolonizowały, a

nie odwrotnie. Takie „postkolonialne” językoznawstwo prowadziłyby też w konsekwencji do wprawiającego w konfuzję stwierdzenia, że Polacy setkami tysięcy udawali się na Syberię, żeby ją sobie pokolonizować... Ale krótko przypomnę, skąd wzięło się przekonanie o kolonializmie zwrotu „na Ukrainie”. Pojawiało się ono od czasu do czasu – przekonanie to utrwaliła m.in. popkulturowa książka „21 polskich grzechów głównych” Piotra Stankiewicza (2018) – ale rozgłosu nabrało wraz z performansem Julii Kriwicz (konsekwentnie używającej angielskiej transliteracji: Yulia Krivich), która z końcem 2019 r. na Dworcu Zachodnim w Warszawie (miejsce symboliczne – tam przyjeżdżają autobusy z migrantami ukraińskimi) [wymachiwała transparentem z napisem „W Ukrainie”](#). Akcja zyskała odzew w mediach od lewa do prawa, z tym że te bardziej na lewo się przejęły i w ramach narodowej ekspiacji przyjęły propozycję ukraińskiej artystki, bezrefleksyjnie akceptując tym samym tezę o kolonialnym aspekcie wyrażenia „na Ukrainie”. Od tego czasu ten minidogmat postkolonialny zaczął się szerzyć w mediach.

Nie mam nic przeciwko oboczności form „na Ukrainie” / „w Ukrainie”. Ta druga forma wpisuje się w dominujący paradygmat gramatyczny, choć zdradza proveniencję wschodnią i rodzi problemy z postacią dopełniaczową: „jadę do Ukrainy / w Ukrainę” w związku z korzeniami w języku rosyjskim/ukraińskim (tak, to ta uwaga dotycząca rusycyzmu, a ściślej rutenizmu, co nie stanowi dla mnie takiego problemu, jak uważają Autorki polemiki). Wolałbym jednak, żeby nie dorabiać do tego postkolonialnej ideologii i by w imię właśnie tak dyskredytowanej, a zarazem stosowanej przez Autorki poprawności politycznej nie wprowadzać cenzury na historyczne formy „na Ukrainie”, „na Białorusi” czy „na Litwie” itd. Dodam, że najwybitniejszy badacz polskiego kolonializmu na byłych Kresach Wschodnich – historyk, rusycysta i polonista Daniel Beauvois – w swoich wypowiedziach (w języku polskim, nie w tłumaczeniach) nie miał problemu z formami „na Ukrainie”, „na Białorusi”, „na Litwie”, choć zarazem był bezlitosnym destrukctorem naszych kolonialnych kresowych mitów. Proponuję zatem: mniej fantazji, więcej osadzonego w nauce rozsądku. Nie wiem natomiast, skąd Autorki wytrzasnęły wieść, że forma „na Ukrainie” to rusycyzm – chętnie poznałbym szczegóły tej lingwistycznej rewelacji, serio.

Poza tymi szczegółowymi problemami językowymi Autorki responsu recenzyjnego zarzucają mi belferstwo, nieświadomość uwarunkowań politycznych i kulturowych środowiska queer:

Imputowanie tejże społeczności braku świadomości językowej i wytykanie ‘zaśmiecania języka polskiego’ przypomina nauczycielskie przywoływanie do porządku zbuntowanych dzieciaków. Autor pomija jednocześnie okoliczności

polityczne, w jakich rozwija się dzisiaj polska kultura queer. Queerowe doświadczenie i praktyki pozostawały w Polsce długie lata nienazwane, a dziś są piętnowane. Dlatego osoby queerowe mają pełne prawo nazywać je tak, jak zechcą. I robią to, choćby za pomocą języka angielskiego czy „polingliszu” w pełni świadomie.

To ciekawy sposób uzasadnienia makaronizowania rodzimej kultury (języka polskiego). Wątpię, żeby stosowanie przez te środowiska pokoleniowego „polingliszu” było świadomą, subwersyjną strategią emancypacji. Autorki polemiki stwierdzają, że pomijam „okoliczności polityczne, w jakich rozwija się dzisiaj polska kultura queer”. Cóż, nie pisałem referatu na temat politycznych uzależnień kultury queer czy ogólniej LGBT+, ale recenzję z festiwalu teatralnego.

W ostatnim punkcie polemiki pada twierdzenia, że w „omówieniu projektu »Plac Wolności« autor niemal nie używa terminu »queer«”. Otóż tego słowa lub form pochodnych użyłem w związku z tym wydarzeniem, recenzowanym dość krótko, dokładnie sześć razy. Stosowałem też skrótowiec LGBT+ jako najbardziej rozpoznawalne i najmniej kontrowersyjne oznaczenie problematyki – w odróżnieniu od innych rozszerzeń, „plus” na końcu tego akronimu oznacza inkluzję również „queer”, nie rozumiem problemu z niestosownością tego skrótu, podnoszonego przez polemizujące autorki.

W zakończeniu swej diatryby Kuratorki festiwalu proponują mi lekturę najnowszej książki J. Krakowskiej o performansie, która ma mnie przekonać, że „programowe amatorstwo, wygłup, niechlujność, bezczelność, żenada, »traszowa« estetyka – to podstawowe strategie queerowych performansów”. Tyle że ja to wiem od dawna – i wiem też, że końcowy występ, jeszcze raz podkreślę: polegający na chodzeniu z kamerą po ulicach Poznania i „obrabianiu dupy” (to cytata) przypadkowym osobom, bliższy jest zdecydowanie działaniom kojarzonym ze zjawiskiem zwanym patostream niż ze zjawiskami estetycznymi w obrębie anty(para)-sztuki. Owszem, patostream jest formą kultury (tak jak inne patologiczne wzorce), ale do sztuki jeszcze jest daleko. Jeśli szanowne Kuratorki bronią patostreamerskiego wydarzenia festiwalowego, posiłkując się Krakowską, to jest to ich problem z elitaryzmem, a nie mój, bowiem stają w obronie sprawy beznadziejnej.